Cena pojedyn. numeru 30 groszy

Należność pocztowa uiszczona ryczałtem

Nr. 39 Warszawa, dn. 31 sierpnia 1929 r. Rok I.

PLACÓWKA

POLITYCZNA — SPOŁECZNA — GOSPODARCZA — KULTURALNA

PISMO TYGODNIOWE DLA WSZYSTKICH

TREŚĆ NUMERU:

NA PORZĄDKU DZIENNYM

EGZAMIN ZAGRANICZNY.

Z trudem sklecony po trzytygodniowych rokowaniach, w których państwa sprzymierzone dały zadziwiający obraz rozdźwięków — kompromis w Hadze uratował konferencję od rozbicia. Na ujawnienie następstw zapadłych tam decyzyj, nie długo przyjdzie nam czekać. Już dziś jednak mamy dostateczne dane do sądzenia, jaką rolę odegrała na tej konferencji delegacja polska, której zaproszenie do Hagi było — według własnych słów p. ministra Zaleskiego — skutkiem „stale wzrastającego zaufania, jakie Polska zdobywa na terenie międzynarodowym".

Pierwsze dowody tego „znaczenia" widzieliśmy przy ukonstytuowaniu prac konferencji, wykluczeniu nas z obrad komisji politycznej i sprowadzeniu do fikcji naszego udziału w komisji finansowej. O drugim, noszącym cechy wręcz upokarzającego lekceważenia, poinformował opinję polską oficjalny organ naszego ministerstwa spraw zagranicznych „Messager Polonais" w korespondencji z Hagi, w której m. in. donosił, że „sekretarjat konferencji, kierowany przez Anglika p. Maurycego Henheya zrobił trudności, gdy p. Zaleski okazał uprawnioną chęć zaznajomienia się z protokółami komisji", w sprawach dotyczących bezpieczeństwa Polski.

Tak w świetle przykrych, bolesnych faktów wygląda to „wzrastające znaczenie" na terenie międzynarodowym, które notować nam przychodzi w czwartym roku rządów sanacyjnych. Stwierdzenie to jest tem znamienniejsze, że cokolwiek sfery obecnie rządzące mogłyby mówić o stanowisku opinji polskiej wobec ich rządów w kraju — jedno objektywnie przyznać muszą, że w dziedzinie polityki zagranicznej nikt im w niczem nie przeszkadzał, że na tym odcinku panowało w całej pełni „zawieszenie broni"; że miały one zawsze poparcie zarówno opinji, jak i przedstawicielstwa narodowego, ilekroć o to poparcie się zwracały.

W tych warunkach, to co się w tej chwili dzieje na arenie międzynarodowej w odniesieniu do najżywotniejszych naszych interesów — jest egzaminem, jaki rządzący obóz sanacyjny składa z swej umiejętności zapewnienia państwu „stale wzrastającego znaczenia". Że ten egzamin wypada tak niepomyślnie trudno o to winić osobiście kierowników naszej polityki zagranicznej. Polityka zagraniczna państwa współczesnego nie jest sztuką samą w sobie zamkniętą, oderwaną od ogólnego tła i rozwoju polityki wewnętrznej. Jest tylko mniej lub więcej umiejętnym wyrazem tej roli i tego znaczenia, jakie państwo sobie zdobywa przez cały swój wewnętrzny wysiłek. Zbytecznem jest dowodzić, że ten nasz wysiłek, to co Polska reprezentuje w zakresie swych stosunków wewnętrznych, a czego ukryć przed obcymi żadną miarą się nieda, od dłuższego czasu nie może budzić zachwytu i uznania...

W Hadze zdawaliśmy pierwszy z tej dziedziny egzamin. Za dni kilka do drugiego zasiądziemy w Genewie.....

O podstawę współdziałania.

Nieraz zwracano już uwagę w opozycyjnej publicystyce naszej na ten fakt, że w sytuacji politycznej już w początkach roku bieżącego nastąpił przełom, polegający na tem, że w obozie sanacyjnym wszystko zaczęło się szybko psuć; stanowisko moralne Sejmu zostało wzmocnione, kosztem drugiego czynnika naszego życia państwowego; autorytet opozycji wzrósł z powodu ujawnienia się całego szeregu anomalności w naszych stosunkach na terenie gospodarczym, finansowym i politycznym, które wywołały silne niezadowolenie w szerokich kołach społecznych i które zostały ujawnione przez obóz przeciwny sanacji; w łonie zaś tej ostatniej powstało dużo rozdźwięków, niedawni jeszcze sprzymierzeńcy rozpoczęli ze sobą walkę (usuwając z urzędów t. zw. Bartlowców), nawet w szeregach byłych prawdziwych legjonistów jest coraz więcej malkontentów, a rozum stanu „pułkowników" zawiódł całkowicie.

Proces rozkładu obozu sanacyjnego postępować będzie dalej, co z konieczności wywołać musi w układzie sił społeczno - politycznych w państwie duże przekształcenia, wynikiem których będzie w końcu zmiana w naszych sferach decydujących.

W jaki sposób, przy jakich okolicznościach ona nastąpi tego nie wiemy i wiedzieć nie możemy. Zwykle zresztą w takich razach ważną rolę odgrywają nawet okoliczności drugorzędne, a nawet trzeciorzędne, czysto przypadkowe.

Pozostawiając więc tę sprawę zupełnie na boku zastanowię się nad innem zupełnie zagadnieniem, mającem pierwszorzędne znaczenie: na gruncie jakiego programu politycznego, w jaki sposób zorganizować w naszem społeczeństwie zdolną do rządzenia większość, a raczej jak wytworzyć taką większość, z której mógłby się wyłonić Rząd, mający silne oparcie w społeczeństwie.

Każdy naród ma pewne właściwości psychiczne, będące wynikiem jego cech etnicznych i całej przeszłości historycznej.

Polacy mają także swoją psychologję polityczną, która niestety nieraz była już jedną z przyczyn naszych klęsk dziejowych*).

Otóż jedną z cech, charakteryzujących naszą psychikę polityczną jest niechęć do gruntownych rozważań zagadnień programowych, naiwna wiara w intuicję naszych mężów stanu, niechęć do ścisłego określania swych postulatów.

Lubimy się upajać różnemi ogólnikami. Piszę o tem dlatego, że jestem głęboko przekonany, iż możnaby usunąć wiele nieporozumień w naszem życiu publicznem, po gruntownie przeprowadzonych dyskusjach programowych, dotyczących rozmaitych zagadnień gospodarczych, socjalnych i politycznych. Trzeba tylko mieć odwagę ujmować zjawiska społeczno-polityczne realnie, to znaczy liczyć się z faktami, a następnie wyprowadzać wszystkie konsekwencje z tych postulatów, które się przyjmuje.

Przedewszystkiem należy bardzo dokładnie i możliwie objektywnie zdać sobie sprawę z istniejącego układu sił społeczno - politycznych, zarówno w stosunkach międzynarodowych, jak i naszych wewnętrznych; następnie trzeba uwzględnić ogólne tendencje rozwojowe współczesnych narodów i na ich tle rozpatrywać nasze sprawy.

Czy się komu podoba, czy nie, faktem jest niewątpliwym, że Polska była od wieków i jest wciągnięta w wir życia europejskiego.

Oczywiście, nie znaczy to, aby rozwój wszystkich narodów odbywał się w sposób całkowicie identyczny; faktem jest jednak, że w każdej epoce dziejowej występują u rozmaitych narodów zadania bardzo do siebie zbliżone, które muszą one wypełnić i niewypełnienie których pociąga dla nich skutki ujemne.

Wystarczy tu jeden przykład dla unaocznienia myśli powyższej.

Na przełomie wieków średnich i czasów nowożytnych powstały w Europie państwa skonsolidowane, oparte na stałem wojsku, skarbie i biurokracji hierarchicznej. W państwach rozmaitych proces ten odbywał się w sposób różny w czasie krótszym, albo dłuższym.

Rozwój Polski szedł inną drogą, co miało skutki fatalne.

Nie należy wyobrażać sobie, że jesteśmy jakimś narodem wyjątkowym, że rozwój nasz postępować będzie jakiemiś drogami specjalnemi, całkowicie odrębnemi od narodów innych.

I.

USTRÓJ PAŃSTWOWY

Każde państwo musi posiadać ustrój, opierający się na pewnych, względnie trwałych podstawach. W czasach obecnych podstawy takiego ustroju nie mogą być przypadkowe, nie mogą być wynikiem „swobodnej twórczości" zręcznych mężów stanu, lecz opierać się na interesach, ideach, przekonaniach szerokich kół społeczeństwa. Muszą być wynikiem istniejącego w danym czasie i miejscu układu sił społeczno - politycznych.

Rozmaite sztuczne podstawy ustrojów politycznych, w czasach obecnych, w których szerokie koła ludności biorą udział w życiu politycznem — na czas dłuższy są niemożliwe.

Ustrój polityczny Polski innym też być nie może. Jeżeli państwo nasze ma wejść na drogę normalnego rozwoju to zarówno jego stronnictwa skrajne jak i zachowawcze, muszą stanąć lojalnie na gruncie demokracji parlamentarnej.

Stronnictwa skrajne, nauczone smutnem doświadczeniem z dyktaturą powinny szczerze uznać choćby cicho „we własnych szeregach" swój błąd i zająć to stanowisko, że do rządzenia państwem ma prawo Rząd, wychodzący z większości. Chcąc taki Rząd obalić, należy pracować nad uzyskaniem większości. Ustrój oparty na najszerszych podstawach wyborczych, nie wykluczających nikogo, daje możność walki legalnej i powodzenia, różnym kierunkom.

Trzeba tedy wykluczyć nielegalne środki walki. Tylko odbieranie praw nabytych, wykluczanie całych grup społecznych od udziału w życiu politycznem, albo sztuczne zmniejszanie ich wpływu usprawiedliwić może wybuchy rewolucyjne, czy zamachy.

Nie można jednak w imię urojonego niebezpieczeństwa wywoływać zaburzeń.

*) W przyszłości mam zamiar poświęcić szereg artykułów naszej psychologji politycznej.

O podstawę współdziałania (c. d.)

Stronnictwa skrajne, czy to robotnicze, czy chłopskie powinny zrozumieć, że drogą rewolucyjną nie osiągną swych celów. Rewolucja może łatwo obalić sztuczne przeszkody, stojące na drodze do reform, ale nie jest w stanie narzucić zgóry wbrew woli większości społeczeństwa skomplikowanych pozytywnych reform socjalnych.

Z drugiej znowu strony, żywioły zachowawcze powinny także realnie oceniać sytuację w naszym kraju. Powinny się pogodzić z tym faktem, że zasadnicze podstawy istniejącego systemu wyborczego do Sejmu muszą pozostać. Można wprowadzić pewne zmiany, natury raczej technicznej, ale powszechność równość i proporcjonalność muszą pozostać, gdyż one tylko dają gwarancję, że większości parlamentarnej odpowiada większość w społeczeństwie, czy w społeczeństwach.

Nawet jeżeli teoretycznie, z tych, czy innych względów, nasze żywioły zachowawcze są przeciwne podstawowym zasadom istniejącej u nas ordynacji wyborczej — to uwzględnić winny ten fakt, że nie mają one żadnych szans, aby legalnie, na gruncie parlamentarnym ją zmienić. Do wywołania zaś rewo lucji nie mają sił. Wszelkie zaś marzenia o tej czy innej formie faszyzmu, czy innej dyktatury u nas są dziecinnadą, humorystyką polityczną.

Sam Mussolini rozumie to dobrze, że faszyzm, którego trwałość jest zresztą bardzo wątpliwa, w tej formie w jakiej istnieje, jest wytworem czysto włoskim. Aby faszyzm zrozumieć należycie, trzeba znać historię Włoch, zwłaszcza z końca wieków średnich i początków czasów nowożytnych; należy też uwzględnić moment powstania faszyzmu we Włoszech i całe tło socjalne.

Nasze żywioły zachowawcze przyczyniły się też częściowo do tego, że żywioły skrajne poparły wypadki majowe.

Było rzeczą łatwą do przewidzenia, że skoro będzie się u nas propagowało faszyzm w tej czy innej formie, to wyjdzie to na korzyść tych żywiołów, które są lepiej zorganizowane konspiracyjnie od innych i które mają dużo oddanych sobie ślepo ludzi w wojsku, chociażby ci ludzie stanowili tylko mniejszość.

Można więc było z góry przypuścić, że zamach łatwiej będzie urządzić nie żywiołom zachowawczym lecz stronie przeciwnej.

Tak samo obecnie trzeba się raz zdecydować albo stanąć na gruncie demokracji parlamentarnej, która w szczegółach może mieć rozmaite formy, albo też na gruncie dyktatury, czy to zwykłej, czy monarchistycznej.

Środka nie ma.

Albo Rząd musi być całkowicie odpowiedzialny przed parlamentem, albo politycznie od niego niezależny.

Poszukiwanie czegoś pośredniego jest poszukiwaniem kwadratury koła.

Veto prezydenta byłoby szkodliwe bo prowadzić by mogło do konfliktów w łonie władzy wykonawczej. W republice rządzić może albo premjer, albo nieodpowiedzialny prezydent.

Żywioły zachowawcze, wysuwając żądania zmiany ordynacji wyborczej zresztą w sposób nieokreślony, mimowoli przyczyniają się tylko do wzmacniania radykalizmu i utrwalania dyktatury.

Nawet junkrzy pruscy pogodzili się z głosowaniem równem i powszechnem, a jeżeli w duchu są mu przeciwni, to tyle mają zmysłu politycznego, że z tem nie występują głośno, pozostawiając to jednostkom i grupom nieodpowiedzialnym. I ci dawni junkrzy pruscy, przy prawie identycznym z naszym systemie wyborczym, mają poważną liczbę posłów i są czynnikiem z którym liczyć się muszą poważnie i socjaliści.

Nawracanie do form przeżytych, do choćby tylko częściowej odpowiedzialności ministrów, może tylko sytuację zaostrzyć i osłabić żywioły zachowawcze. Jest rzeczą zdumiewającą jak ludzie nieraz skądinąd inteligentni nie umieją wyprowadzić wniosków logicznych z historji. Najsilniejsze rządy upadły w Europie w ostatnich dziesięcioleciach. Upadły w Rosji, w Niemczech, w Turcji. A naszym niektórym publicystom zdaje się, że wprowadzenie ich w formie złagodzonej udać się może w Polsce.

Mogą być różne opinje i dążenia do reform w zakresie charakteru Senatu, zakresu samorządu, takiego albo innego systemu proporcjonalnego. Demokracja parlamentarna jednak w swych podstawach zasadniczych musi pozostać nietkniętą. Kto tego nierozumie dziś ten nie jest politykiem realnym.

Nie poruszam tu innych zagadnień ustrojowych co do których rozbieżność poglądów może być znaczna, gdyż chodzi mi o to, aby wskazać punkty zasadnicze, na które stronnictwa winny się zgodzić, aby umożliwić normalne funkcjonowanie ciał ustawodawczych i Rządu.

O sprawie mniejszości narodowych mówić będę oddzielnie.

Naród tak samo jak człowiek pojedynczy musi zdobyć doświadczenie życiowe, które jest wynikiem jego działalności. Doświadczenie to może być osiągnięte tylko przez udział w życiu publicznem, przez decydowanie o swym losie, przez ludzi cieszących się jego zaufaniem. Żaden jeszcze naród nie wyrobił się politycznie w ustroju absolutystycznym, czy też półabsolutystycznym.

Ciężkie doświadczenia w ciągu ostatnich trzech lat przyczyniły się niewątpliwie do zrozumienia przez nasz ogół niektórych zasadniczych prawd politycznych; przedewszystkiem tej, że walka stronnictw*) chociażby od siebie najbardziej oddalonych programowo, powinna mieć pewne granice i że przekroczenie tych granic prowadzi do absolutyzmu, który w dzisiejszej fazie rozwoju narodów jest najszkodliwszą formą rządu dla wszystkich stronnictw.

Ludwik Kulczycki.

---

*) Nie można jednak nazwać stronnictwem grupy ludzi, ślepo oddanej Rządowi, nie mającej swej woli, ani programu, działającej na rozkaz z góry.

Górnośląski głos przestrogi.

Echa skandalicznego zakazu urządzenia obchodu dziesięcioletniej rocznicy wybuchu pierwszego powstania górnośląskiego, wydanego przez władze policyjne w Katowicach, z powołaniem się na ukaz króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II z 1794 r. — wywołały tym razem żywszy oddźwięk w opinji społeczeństwa polskiego innych dzielnic, które naogół dość obojętnie odnosi się do tego wszystkiego, co się od paru lat dzieje na Górnym Śląsku, a co każdego czujniejszego obywatela napawać musi obawą o los tej z takim trudem i takiemi ofiarami zdobytej ziemi.

Znamiennym przyczynkiem tej wzrastającej świadomości obywatelskiej, jest wystąpienie „Dnia Polskiego", organu naszego sanacyjnego konserwatyzmu, który z uznania godną bezstronnością i odwagą, wypowiedział swą opinję o dzisiejszym stanie rzeczy na G. Śląsku. Opinja ta w niczem niemal nie różni się od tego, co na temat stosunków górnośląskich pisze od szeregu miesięcy prasa niezależna. Stwierdziwszy, że powstanie górnośląskie było „czynem, dokonanym przez najlepsze, najbardziej uświadomione narodowo żywioły" organ konserwatywno - sanacyjny przyznaje, że obchód zakazany przez władze organizowany był przez komitet, „w którym przedewszystkiem czynnik obywatelski odgrywa decydującą rolę". Co do samego zaś „zakazu" nie tai bynajmniej swego zdania że tego zakazu nie może... zrozumieć. Uważa go za „poważny błąd polityczny" poczem wypowiada takie niespotykane na łamach pro-rządowego organu verba veritatis:

> Wydaje się nam, że sprawy na Śląsku Górnym zaszły tak daleko, że szybki w nie wgląd władz centralnych staje się konieczny. Śląsk Górny, jedna z najcenniejszych dzielnic Polski, wymagająca wyjątkowej zręczności i taktu w administrowaniu, nie może być nadal terenem dla eksperymentów, w których głębszego sensu nie można się dopatrzyć, a których szkodliwość jest aż nadto widoczna. Ujmowanie zagadnienia Górnego Śląska niemal wyłącznie pod kątem zwalczania wpływów Korfantego, musi razić swą prymitywnością, tem więcej, że nie odnosi to zamierzonego celu. Nawet powierzchowny obserwator życia na Górnym Śląsku przyzna, że wpływy te zamiast się zmniejszać zwiększają się stale.

W grze są wielkie rzeczy...

Przytoczyliśmy umyślnie w szerszem streszczeniu ten niespodziewany głos „Dnia Polskiego", pisma tak blizko z dzisiejszym systemem rządzenia związanego, aby w świetle jego argumentacji podkreślić powagę położenia na Górnym Śląsku, które organ pro-rządowy ocenia niemal identycznie w ten sam sposób, jakiemu my w naszem piśmie od początku dajemy wyraz.

To nieprawdopodobne, a bodaj że w publicystyce polskiej czasów ostatnich, pierwsze i jedyne zejście się na wspólnej platformie ostrej a rzeczowej oceny polityki sanacyjnej — jest tak wymowne, że samo już stwierdzenie tego faktu winno u czynników decydujących spowodować natychmiastową i radykalną zmianę kursu dotychczasowej polityki górnośląskiej.

Niestety brak jakichkolwiek danych potwierdzających przypuszczenie, że obywatelskie wystąpienie „Dnia Polskiego" sprowadzi w tych kołach, o jakie chodzi, jakiekolwiek otrzeźwienie. Przeciwnie cały szereg faktów — a między innemi wymowne zlekceważenie wystąpienia „Dnia" przez inne organy sanacyjne — zdaje się potwierdzać fakt, że w polityce rządowej na Górnym Śląsku nie należy oczekiwać w najbliższej przyszłości żadnych zmian, i że w dalszym ciągu mężem zaufania sfer rządowych w tem województwie pozostaje cieszący się niesłabnącem zaufaniem sfer miarodajnych dzisiejszy wojewoda dr. Grażyński, którego ustąpienia, jako pierwszego kroku w kierunku uspokojenia umysłów, domaga się coraz natarczywiej niezależna opinja górnośląska, czego wyrazem m. in. jest formalna uchwała ostatniego zjazdu wojewódzkiego N. P. R.

A przecież w grze nie ma nic innego, jak „spokój i bezpieczeństwo" Górnego Śląska, jak wyraźnie przyznaje „Dzień Polski". W tej sytuacji opinja publiczna musi zdawać sobie sprawę, jakie jest podłoże rozgrywającej się w tej dzielnicy walki, gdzie są jej winowajcy i jakie muszą być jej nieuchronne następstwa, jeśli nie nastąpi to, czego konieczność widzi już nawet konserwatywny organ pro-rządowy, gdy bez żadnych obsłonek wypowiada się w wspomnianym artykule za poddaniem „zasadniczej rewizji i to jaknajprędzej", stosowanej tam dotąd polityki.

Gdy Polska objęła dziedzictwo Piastowe...

Nie można powiedzieć, żeby z takim trudem zdobyte skrawki wielkiego kiedyś dziedzictwa Piastowego — doczekały się w Polsce takiego włodarstwa, jakie powinno było przyjść w uwzględnieniu tych wszystkich ukrytych a potężnych sił, które chwilowo się przyczaiły, ale których jedynym celem jest pozbawić nas w sprzyjającej konjunkturze nawet tej cząstki naszych rewindykacyj. Nie spełniły się wprawdzie ukryte marzenia Niemców, że Polska nie da sobie rady z opanowaniem tej skomplikowanej machiny górnośląskiej, że wcześniej, czy później „polnische Wirtschaft" tam się skompromitować musi. Trudności gospodarcze Polska opanowała. Entuzjazm, który towarzyszył ząbkowaniu polskiej państwowości na Górnym Śląsku — starczył za lata doświadczeń i technicznego przygotowania. Egzamin zdany całkowicie w dziedzinie gospodarczej, wypadł jednak daleko gorzej w dziedzinie politycznej...

Zresztą i tu bądźmy ścisłi. Początki administracji polskiej na Górnym Śląsku zapowiadały się jak najlepiej. Za czasów pierwszego wojewody śląskiego ś. p. Rymera (pierwszego i jedynego dotąd Górnoślązaka na wyższem stanowisku administracyjnem) — stosunki między społeczeństwem a władzami układały się zupełnie prawidłowo. Nawet ostry przebieg kampanji wyborczej do pierwszego Sejmu Śląskiego i Sejmu Rzeczypospolitej (wrzesień — listopad 1922 r.), chociaż wywołał znaczne pogłębienie wewnętrznych przeciwieństw politycznych, nie miał żadnego wpływu na stosunek społeczeństwa do władz państwowych. Władze administracyjne stały na stanowisku ścisłej bezstronności, stosując jako kryterjum swej działalności zasadę bezwzględnej

praworządności i niezależności od jakichkolwiek wpływów partyjno - politycznych.

Ten stan rzeczy, konsekwentnie przestrzegany w polityce administracyjnej w pierwszym okresie (lata: 1922 — 1926) — zaczął wydawać jak najlepsze wyniki. Mimo niezmiernych trudności politycznych, i gospodarczych, które zwłaszcza spotęgował wybuch wojny celnej polsko - niemieckiej w czerwcu 1925 r. — wspólnym wysiłkiem władz państwowych, Sejmu Śląskiego i organizacyj robotniczych polskich — doprowadzono do tego, że w skomplikowane te stosunki coraz bardziej przenikał duch wspólnej, lojalnej pracy, poczucie odpowiedzialności za teraźniejszość i przyszłość, ugruntowane świadomością, że wobec ogromu tej odpowiedzialności zarówno antagonizmy polityczne, jak i walki społeczne, muszą być regulowane wyższym miernikiem objektywnie i uczciwie pojętego interesu państwowego, jeżeli ich przejawy nie mają i państwu i Śląskowi przynieść szkody.

Echa krwawej burzy majowej

W tych stosunkach, dalekich od jakiegoś idealizmu, czy sztucznej sielanki, ale zdrowych bo na poczuciu rzeczywistości i odpowiedzialności opartych — nastąpił nieoczekiwany przełom w drugiej połowie 1926 r.

Przyszedł na Górny Śląsk z krwawą burzą majową, której skutki tak znamienne dla całej Polski, bodaj że w tej dzielnicy największemi następstwami zaznaczyć się miały.

Jesienią tego roku, na kilka tygodni przed zarządzonemi wyborami do ciał komunalnych — pierwszemi za rządów polskich — wbrew jednomyślnym protestom i ostrzczeniom reprezentantów społeczeństwa, przedstawionym ówczesnemu premjerowi prof. Bartlowi — rząd centralny zarządził zmianę na stanowisku wojewody śląskiego. Miejsce bezstronnego urzędnika o dużem doświadczeniu administracyjnem i już obznajomionego z miejscowemi stosunkami — zajął młody działacz formującego się obozu sanacyjnego, luźno i przelotnie z Górnym Śląskiem związany — dr. Grażyński, nazwany przez prof. Bartla wobec delegacji śląskiej „cudownem dzieckiem".

„Cudowne dziecko" z młodzieńczą energją wzięło się do dzieła. Zawdzięczając powołanie swe na urząd wojewody poparciu jedynej wówczas organizacji b. powstańców — „Związku Powstańców Śląskich", — którego przewódcy z taką samą energją przerzucili się do obozu zwycięskiej „rewolucji majowej", z jaką 4 lata temu stanowili główne oparcie w akcji wyborczej bloku Korfantego — nowy wojewoda postanowił na tym fundamencie oprzeć swą działalność reprezentanta Rządu polskiego. Powiedział to zresztą wyraźnie do demonstrujących na jego cześć po przyjeździe do Katowic „powstańców", że w nich jedynie upatruje prawdziwych reprezentantów ludu śląskiego i ich interesy przedewszystkiem będzie miał na oku.

Trzeba przyznać, że w ciągu 3-letniego urzędowania przyrzeczeń tych ściśle dochował, z tą jedynie różnicą, że pojęcie „powstańców" uległo z biegiem czasu poważnemu zacieśnieniu i skurczeniu. P. wojewoda pod mianem tem rozumie jedynie członków czołowej i bojowej organizacji sanacyjnej „Związku Powstańców Śląskich", liczebnie w tym czasie znacznie przerzedzonej z prawdziwych powstańców, ale zato zasilonej nowym elementem, który bądź z powstaniami śląskiemi nic ideowo nie miał wspólnego, bądź też w czasie powstania nie był w stanie jeszcze dźwigać bagnetu...

W międzyczasie powstały bowiem inne organizacje byłych powstańców: Narodowy Związek Powstańców Śląskich i b. Żołnierzy, grupujący zwolenników posła Korfantego, Związek Obrońców Śląska (narodowo robotniczy), Legjon Demokracji (socjalistyczny) — wszystkie drogą secesji z jednolitej kiedyś wspólnej organizacji, która wprzągnąwszy się w rydwan polityki sanacyjnej, przestała być dawno ideowem zrzeszeniem prawdziwych bojowników o wolność Śląska.

Polityka demoralizacji i zemsty

Ów szczątkowy jednak „Związek Powstańców Śląskich" pozostał ciągle czynnikiem uprzywilejowanym. Sutą ręką posypały się do rąk jego działaczy i przewódców wszelkiego rodzaju koncesje monopolowe i kredyty państwowe. Z dawnych „biedaków" w ciągu trzech lat powyrastali różni potentaci; i tylko od czasu do czasu jakieś echo „sprostowania urzędowego" pewnych „niedyskrecyj" w prasie lub w debacie sejmowej — rzuci nieco światła na te metody, dzięki którym porosły w pierze i wpływy najwpływowsze podpory p. woj. Grażyńskiego.

Ten ostatni uznał widocznie, że w akcji politycznej, którą jako wojewoda i szef obozu sanacyjnego w jednej osobie, — na Górnym Śląsku rozpoczął — każdy środek jest dopuszczalny. A celem tym, coraz wyraźniej wysuwanym, a z czasem nawet jawnie sformułowanym — stało się złamanie na Śląsku wpływów politycznych posła Korfantego.

W imię tego negatywnego czysto celu rozpętano na Śląsku walkę, w której postanowiono Korfantego za wszelką cenę zniszczyć, wymazać jego nazwisko z historji życia polskiego na Górnym Śląsku, napiętnować go poprostu jako zdrajcę polskości... Nie było plotki, którejby o tym działaczu w kurs nie puszczono, ani zbrodni politycznej czy pospolitej, którejby mu nie zarzucono. Trzeba przyznać, że rola, jaką Korfanty odgrywać zaczął na G. Śląsku po jego przyłączeniu do Polski — w dużym stopniu ułatwiła początkowe powodzenie tej kampanji. Jego stosunki z ciężkim przemysłem i czynne wmieszanie się w wir interesów, w których objektem przetargów mogły być tylko jedynie jego stosunki polityczne, a nie walory rzeczowe, czy majątkowe — nie pasowały do politycznej przeszłości tego najpopularniejszego działacza polskiego na G. Śląsku z okresu jego niewoli, walk powstańczych i plebiscytowych. Trzeba to stwierdzić z całą bezstronnością, z jaką również stwierdzić należy, że nie momenty moralno-narodowej natury podyktowały obozowi sanacyjnemu tak ostrą i bezwzględną walkę, jaką wydał on Korfantemu. Obserwując tę walkę odnosi się wrażenie, że jest to ciągle echo tej bezwzględnej mściwości, z jaką obóz dzisiejszych sanatorów ściga nieugięcie Korfantego od chwili, gdy w czerwcu 1922 r. na wezwanie większości Sejmu Ustawodawczego, a wbrew stanowisku ówczesnego Naczelnika Państwa, przystąpił do tworzenia gabinetu...

Lata minęły od tego niedoszłego premjerostwa

Górnośląski głos przestrogi (c. d.)

Korfantego, a mimo ich upływu nie przestaje go ścigać zemsta za to, że... miał odwagę sięgać tak wysoko, że się nie uląkł, a oparty o formalny tekst prawa stał się ośrodkiem pierwszego starcia między normalnemi pojęciami praworządności, a zwycięskiemi już wówczas... „wątpliwościami konstytucyjnemi"...

Chybione wyniki

W atmosferze takiej namiętności prowadzona walka nie zna oczywiście granic. Aranżerowie jej, obcy przeważnie historji zmagań polskości na Górnym Śląsku, nie będący w stanie ocenić kim Korfanty nawet po ujawnionych błędach i swych załamaniach, po wyroku sądu marszałkowskiego, itd., itd. — jest dla przeciętnego Polaka — Górnoślązaka, czem był dla obudzonej polskości pierwszy jego wybór do parlamentu niemieckiego w 1903 r. i historyczne proklamowanie przezeń solidarności politycznej górnośląskiego wybrańca z reprezentacją polską Poznańskiego i Prus Zachodnich, a potem chlubny 15-letni okres parlamentarnej walki z hakatyzmem w parlamencie Rzeszy i w sejmie pruskim — zaczeli się łudzić, iż potrafią go złamać, że zdołają współczesnemu pokoleniu Górnoślązaków wmówić, że to nie Korfanty w latach 1919 — 1922 wiódł lud śląski do Polski, a... Grażyński.....

I nie trzeba myśleć, że w przeciwstawieniu tych dwu nazwisk kryje się jakaś ukryta złośliwość. Tak w uproszczonym „skrócie" myśli i rozumuje działacz sanacyjny na Górnym Śląsku. Walka idzie o to, po której stronie opowie się opinja większości ludności górnośląskiej.

Takie postawienie tłumaczy nam równocześnie ostrość tej walki, jej prymitywizm i bezwzględność. Nie tu miejsce na charakteryzowanie jej poszczególnych faz i objawów. Jasnem jest jednak ponad wszelkie wątpliwości, że w walce tej Grażyński nie wygrywa. Była chwila w okresie wyborów parlamentarnych w marcu 1928 r., kiedy wojewodzie Grażyńskiemu udało się pod hasłem jednolitego frontu polskiego przeciw Niemcom — zgrupować w jednym obozie: N. P. R., sanacyjne Nar. Chrześc. Zjedn. Pracy, Zw. Kat. Śląskich (grupa ks. Londzina), P. S. L. „Piast" — i postawić poza tym zespołem Korfantego, którego w tej krytycznej chwili nawet władze centralne własnej partji opuściły. Wbrew pierwotnym tendencjom nadano temu ad hoc powstałemu zrzeszeniu wyborczemu jaskrawe zabarwienie sanacyjne i główne ostrze w walce wyborczej skierowano przeciw Korfantemu. A jednak ten niemiłosiernie zwalczany, i zdawało się przez wszystkich opuszczony, Korfanty zdobył prawie 120 tysięcy głosów, t. j. tylko 55 tysięcy mniej od zwalczającego go bloku, któremu patronował wojewoda Grażyński.

Od tego czasu sytuacja wewnętrzno-polityczna w województwie śląskiem uległa radykalnej zmianie. Współdziałanie N. P. R. z sanacją, współdziałanie w którem właściwie kierujące sfery sanacyjne nadużyły dobrej wiary i zaufania N. P. R., nadając wspólnej akcji wyborczej zupełnie inny charakter i cel, niż to leżało w dążeniach narodowego obozu robotniczego — nie dało się dłużej utrzymać. Niedługo potem N. P. R., — obserwując pilnie metody i cele akcji sanacyjnej, i stwierdzając mimo ostrzeżeń ich zdecydowanie partyjny, pozbawiony elementarnego poczucia odpowiedzialności państwowej charakter — przechodzi do ostrej opozycji, czego wyrazem staje się stanowisko klubu posłów N. P. R. w Sejmie Śląskim i Sejmie Rzeczypospolitej. W chwili gdy sytuacja do tego stopnia się skrystalizowała, wojewoda Grażyński uznał, a władze centralne to jego stanowisko najwidoczniej zaakceptowały, że trzeba opozycję, posiadającą większość w Sejmie Śląskim, pozbawić możności akcji politycznej. W tym momencie nastąpiło w dn. 12 lutego r. b. w trakcie prac budżetowych Sejmu Śląskiego jego rozwiązanie, bez równoczesnego — jak tego wymaga art. 22 Statutu Organicznego — rozpisania nowych wyborów. Na skonsolidowanie się nastrojów opozycyjnych — władze odpowiedziały zaprowadzeniem stanu ex lex...

P. Kujawski.

KRONIKI TYGODNIOWE

KRONIKA O JEDNEJ Z WAD POLSKICH. — NASZA UPRZEJMOŚĆ WOBEC ZAGRANICY. — FETOWANIE CUDZOZIEMCÓW. — O POBYCIE ILJI ERENBURGA W POLSCE. — FRANCUSCY SIERŻANCI. — NASZA UPRZEJMOŚĆ WOBEC DZIERŻAWCÓW PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ. — UPRZEJMOŚĆ NA ŻĄDANIE. — O PEWNEM RZYJĘCIU.— WSTYD!

Jesteśmy uprzejmi. Słyniemy z uprzejmości. Szczególnie wobec cudzoziemców

Bywamy uprzejmi nietylko wobec życzliwych dla nas przybyszów z zagranicy, lecz nawet wobec tych, którzy są dla nas nieżyczliwi.

Przypomnijmy sobie pobyt Erenburga w Polsce.

Przyjechał. Był przyjmowany jak udzielny książe literatury. Nieledwie obnaszany na rękach. Okadzany wonnościami pochwał i zachwytów. Karmiony obficie i opajany najwyszukańszymi smakołykami.

Sam Erenburg dziwił się temu, tu — na miejscu.

A gdy pojechał?

W odpowiedzi na naszą uprzejmość i niemal bałwochwalczą gościnność ordynarnie plunął na Polskę i na wszystko, co polskie.

Uprzejmość i gościnność wobec tego cudzoziemca na dobre nam nie wyszła.

Zresztą nietylko w owym wypadku.

Codziennie niemal zdarza się tak, że cudzoziemiec fetowany w Polsce, wyjeżdża poza granice Rzplitej i tam — „psy wiesza na nas" jeszcze lepiej i skuteczniej od tego, który wcale nie był goszczony.

Przypomnijmy sobie czasy, które nastąpiły bezpośrednio po zgruchotaniu potęgi niemieckiej na zachodnim froncie.

Każdy kabaret, każda pieśniarka, każdy monologista — pieli pochwały i zachwyty na cześć anglików, belgów, francuzów...

Gdy pierwsi oficerowie koalicyjni pojawili się na ulicach Warszawy, Poznania i wielu innych miast Polski, nasza publiczność dostawała istnego szału uprzejmości.

Byli tacy, którzy płakali ze wzruszenia...

Na byle sierżanta francuskiego rzucało się dziesiątek, lub dwa, zachwyconych polaków, którzy z miejsca, z ulicy brali go w objęcia uprzejmości, taszczyli do domu, przedstawiali matkom, żonom, córkom oświadczając:

— Nasz najmilszy gość cudzoziemski!

Potem bywały dość poważne rozczarowania... Różnej natury... Często też polskie rodziny przekonywały się i dziwiły:

Przed jesienną rozgrywką.

Atmosfera polityczna, mimo oficjalnych jeszcze wakacyj, przesycona jest różnemi pogłoskami na temat zamierzonej **zmiany nietyle gabinetu, ale całego kursu polityki rządowej.** Nie chodzi w tej chwili o to, które z tych pogłosek są mniej lub więcej ścisłe, które bardziej odpowiadają prawdopodobieństwu. W warunkach, w których żyjemy lat zgórą trzy, przy metodach decyzji, stosowanych przy rozstrzygiwaniu najdonioślejszych zagadnień państwowych — nie chodzi oczywiście o to, kto lepiej... zgadnie i która informacja akurat przyniesie treść decydującą. Momentem najbardziej charakterystycznym dla dzisiejszej sytuacji jest powszechna świadomość, że **eksperyment z gabinetem „silnej ręki", wyszłym z grupy t. zw. pułkowników — zawiódł na całej linji** i to wcześniej, niż to najśmielsi optymiści skłonni byli przypuszczać.

Istotnie w ciągu całej prawie już 3 i pół lat trwającej ery rządów sanacyjnych — nie było okresu bardziej szarego, w któremby tak jaskrawo wystąpiła na jaw **bezpłodność i jałowość polityki rządowej.** Jałowość tę najlepiej charakteryzuje ostatni inspirowany komunikat z kół rządowych, który zapowiadając w niedługim czasie wznowienie prac Rządu, wylicza jedynie normalne prace budżetowe i gospodarcze, jako te „przełomowe" zagadnienia, którym Rząd poświęci całą swą uwagę i energję...

Tak, jak gdyby w Hadze nic się ostatnimi czasy nie stało, a cały wewnętrzny kryzys gospodarczy sprowadzał się jedynie do chronicznego problemu rozpiętości cen artykułów rolniczych i przemysłowych. Zresztą cisza. Nawet szumnie zapowiadana przez kierujące sfery B. B. akcja „pozyskiwania" społeczeństwa dla „zmuszania" posłów opozycyjnych do uchwalenia sanacyjnego projektu **zmiany Konstytucji** — nie wywołuje w kołach rządowych potrzeby zajęcia się tem, z jego stanowiska zdawałoby się wielkiej wagi, zagadnieniem.

Można jednak — obserwowaliśmy to zresztą u schyłku urzędowania gabinetu prof. Bartla — wydawać największym optymizmem przepojone komunikaty, ale trudniej, wbrew twardemu nakazowi życiowej konieczności, utrzymać się u władzy.

W tej chwili jesteśmy świadkami zaiste paradoksalnej sytuacji: Nikt Rządu nie obala, nikt mu w sprawowaniu władzy nie przeszkadza. A przecież każdy, orjentujący się w sytuacji politycznej, czuje i zdaje sobie sprawę z tego, że mimo, iż p. Świtalski urzęduje jeszcze w pałacu Prezydjum Rady Ministrów — weszliśmy już w stadjum utajonego **przesilenia rządowego.** Łatwiej było odsunąć Sejm od wywierania konstytucyjnie mu zastrzeżonego wpływu na formowanie władzy wykonawczej, jak samemu praktycznie ten trudny problemat rządzenia tak rozwiązać, by społeczeństwo zdawało sobie jasno sprawę z tego, kto kogo zmienił i dlaczego — i co ta nowa zmiana oznacza, jakie ona spowoduje refleksy w wewnętrznej i zewnętrznej polityce państwa.

Niestety **błądzenie po omacku** stało się metodą rządowej polityki sanacyjnej. I dziś, w obliczu dojrzewającego kryzysu, nie widać jasnych linij przewodnich, według których sfery miarodajne zdecydują się rozwiązać przesilenie. Jest poszukiwanie najwygodniejszej formuły dla przetrzymania „złej konjunktury" i najmniej zaangażowanego sternika, któryby zechciał ten ciężar wziąć na swe barki I to wszystko. Jak na powagę zarówno zewnętrznej, jak i wewnętrznej sytuacji państwa — to nie wiele.

W tych warunkach, uwaga opinji publicznej, świadomej tych trudności, jakie w tej chwili, jako rezultat 3 i pół letniego „dorobku" piętrzą się przed nami — skierowana jest na to, **co na sesji jesiennej zrobi Sejm.** Bo, że Sejm powołany zostanie do normalnej swej i jedynie mu pozostałej pracy budżetowej, zdaje się w tej chwili nie ulegać żadnej wątpliwości. W tym „szczególe" mieści się też charakterystyczny przyczynek do mizernego epilogu tych „górnych" i twardych zamierzeń, których widomym znakiem było wraz z zmianą gabinetu objęcie stanowiska podsekretarza stanu w ministerstwie spraw wewnętrznych przez pułk. Pierackiego.

O planach stronnictw sejmowych opinja chwilowo nic nie wie, względnie niewiele. Właściwe narady przygotowawcze jeszcze się nie odbyły. To zaś, co, jako ich zwiastun, przedostaje się na zewnątrz, pozwala przypuszczać, że zbliżająca się sesja może się od-

---

— Ależ, któżby się tego spodziewał? Przecież on nożem wsuwa sos! On zachowuje się wobec pań, jak marynarz w portowej knajpie!

Dziesięć lat niepodległości nie wiele nas w tym względzie nauczyło.

Czołobitność wobec wszystkiego, co ma stempelek „Made in zagranica" — trwa!

Niestety nie dotyczy ona wyłącznie tylko — sfer społecznych. Wkrada się i dalej. Do poczekalni i gabinetów ministerjalnych.

Wszak niedawno sławną była w Warszawie historja z angielskimi dzierżawcami Puszczy Białowieskiej.

Byliśmy tak uprzejmi dla kilku, czy kilkunastu żydów angielskich, że — wypłaciliśmy im ponoć 3 miljony złotych, tak sobie, z uprzejmości...

Zagranica nauczyła się już — korzystać z naszej słabości.

Tam, gdzie nie pomaga sam urok słowa „cudzoziemiec", zjawia się interwencja dyplomatyczna... Nie zawsze tak uprzejma, jak nasza gościnność... Panowie dyplomaci potrafią być tak kategoryczni, że uderzają pięścią w stół:

— Żądamy tego, abyście byli — uprzejmi!

Czy mam wymieniać wypadek, kiedy pewien anglik zastosował tę metodę!!?

Nie będę...

Natomiast zdam sprawozdanie z tego, co przeżywałem sam — przed tygodniem.

Miano otworzyć i poświęcić pewną nową linję komunikacji wodnej pomiędzy Polską i jednem z państw zamorskich.

— Co to było?

— Zwyczajny interes.

Z jednej strony stanęliśmy, jako — kontrahent. Z drugiej zagranica, t. j. jakieś tam przedsiębiorstwo prywatne, które ma zacząć interesy, przewożąc towary do nas i od nas. Za — nasze pieniądze! Nie darmo! Nawet na pewnych prawach t. zw. wyłączności, czy uprzywilejowanego monopolu.

Z tej racji w naszym porcie morskim odbyły się potężne uroczystości. Przybyły nielada figury. Byli tam: jeden polski minister, jeden podsekretarz stanu, kilku dyrektorów departamentu, kilkunastu naczelników wydziałów, przynajmniej ze dwa dziesiątki radców ministerjalnych w piątym i szóstym stopniu służbowym etc.

Pozatem?

Przed jesienną rozgrywką c. d.

być pod znakiem **ujęcia przez Sejm w swe ręce inicjatywy politycznej.** Tak przynajmniej należy wnosić z uchwały warszawskiego komitetu okręgowego PPS., w której ta instancja partyjna, kierowana przez jednego z najwybitniejszych przewódców posła Barlickiego — żąda zgłoszenia w Sejmie **wniosku o votum nieufności dla Rządu p. Świtalskiego** i podjęcia walki o przywrócenie Konstytucji właściwej mocy prawnej.

Najbliższe już tygodnie wyjaśnią nam, czy akcja na tym gruncie jest możliwą wśród stronnictw sejmowych i czy będzie dla niej dostateczna większość, zdecydowana wyciągnąć z jej rozegrania wszystkie niezbędne konsekwencje. W każdym razie sesja jesienna nie może się potoczyć po dotychczasowej linji obstrzeliwania przez Sejm poszczególnych pozycyj rządowych. Po załatwieniu, zwróconej przez Trybunał Stanu, sprawy b. min. Czechowicza — Sejm, jeśli się nie ma załamać, jeżeli nie ma stracić tych atutów, które mu ubiegła sesja dostarczyła — musi iść dalej. Stanie w miejscu i nadużywanie dotychczasowych metod walki — musiałoby się skończyć jego niepowodzeniem. Sytuacja zaś jest taka, że to niepowodzenie byłoby nie tyle klęską Sejmu i stronnictw, ile przekreśleniem tych możliwości wyprowadzenia nawy państwowej z tych bezdroży i bezwładu, w jakie je z górą 3-letnie eksperymenty „radosnej twórczości" sanacyjnej lekkomyślnie zapędziły.

K. Prawdzic.

Kongres N. P. R.

W dniach 8 i 9 września r. b. odbędzie się w Poznaniu V Kongres Narodowej Partji Robotniczej, w programie którego poza zwykłym porządkiem dziennym — mieszczą się referaty na temat położenia gospodarczego w państwie i zagadnień polskiej polityki zagranicznej.

Największe niewątpliwie zainteresowanie i najżywszą dyskusję wywołają sprawozdania prezesa stronnictwa prof. Kulczyckiego i prez. klubu parlam. pos. Roguszczaka. Wyjaśnią one niewątpliwie stanowisko, jakie N. P. R. zajmie wobec aktualnych zagadnień politycznych oraz w sprawie poruszanego od pewnego czasu w prasie połączenia tego stronnictwa z Chrześcijańską Demokracją

Tem tłómaczy się duże zainteresowanie, jakie Kongres wywołał w sferach politycznych.

Z cyklu: „Sanacyjni działacze"

Denuncjator i łapownik - posłem

Jest w klubie BB poseł z listy państwowej sanacji, co się nazywa Antoni Pacholczyk. Pan ten wycierał kąty w różnych już stronnictwach politycznych. Zaczął od umizgów do N. D., gdy ta partja była u wpływów, ale odprawiony stamtąd z kwitkiem wnet przerzucił się na lewicę i zaczął pływać pod sztandarem „Wyzwolenia". Niebawem znalazł się w szeregach „Piasta", gdy wiatr polityczny podnosił w górę Witosowe znaki. Ale i tam nie umiano się na nim poznać. Dopiero na falach sanacji wypłynął na wierzch.

Do sejmu dostał się, przedstawiwszy się władzom sanacyjnym, jako prezes Związku pracowników gminnych, gdy faktycznie był jego płatnym urzędnikiem.

„Nieścisłość" ta wyszła wkrótce na jaw, ale nie zaszkodziła nowemu posłowi w oczach sanacji, która tembardziej oceniła jego spryt i uznała go godnym swego zaufania.

Powierzono mu specjalną funkcję — trzymania za łeb pisarzy gminnych, aby zrobiwszy sobie z nich posłuszne narzędzia, opanować przez nich gminy.

Nomen — omen.

Pan Pacholczyk doskonale się nadawał do funkcji robienia pachołów z innych, we własnem jednak mniemaniu czuł się urodzonym do wielkich rzeczy i zaczął marzyć o tem, jak to cały samorząd gminny rzuci do stóp sanacji i jakimi wawrzynami okryje swe czoło za bohaterskie wyczyny przy przyszłych wyborach. Jednocześnie stał się potentatem finansowym, opanowawszy dawną współdzielnię do dostarczania druków gminom, korzystając z potulności i bierności gmin.

„Zapomniał wół, gdy cielęciem buł"

Aliści przyszła kryska na Matyska. Pan Pacholczyk nie znał widocznie przysłowia: „Zapomniał wół, gdy cielęciem buł", i niepomny swej przeszłości, kazał sobie napisać kosztem Związku apologję swej osoby pod tytułem „Dziesięciolecie Związku pracowników gminnych". Zachęceni tem, znaleźli się wówczas i inni badacze, którzy też zaczęli szperać w przeszłości wielkiego męża, by do pomnika jego sławy i swą cegiełkę dorzucić. Rezultaty tych badań były zdumiewające. Wyszły na jaw rzeczy istotnie pomnikowe.

Przed dostaniem sę do stolicy p. Pacholczyk grasował, jako pisarz gminny w powiecie łęczyckim. Dnia 30 październik 1922 r. toczyła się w Sądzie Pokoju w Łęczycy sprawa, której przebieg rzuca jaskrawe światło na męża zaufania sanacji.

Kwiat naszej inteligencji, na czele których stali dwaj polscy biskupi!

— Czyżby to była prawda?

Słuchajcie... Przy tej okazji — wygłoszono ponad dziesiątek mów. Mówili polscy ministrowie i polscy książęta. Poruszono duchy Kościuszki, Pułaskiego, Wilsona, Waschingtona etc.

Wszystkie mowy były nastawione na patos! Jeden jedyny biskup zdobył się na odstępstwo od powagi i uciął mówkę „na wesoło", jakby — na zakończenie, pragnąc rozentuzjazmowanych wobec zagranicznych kupców — rodaków, przywołać do porządku:

— Oszaleliście? Przecież ta firma. choć może i bardzo zamożna firma, jest tylko — firmą!

Mnie i jeszcze kilku obecnych przy tem polaków — palił wstyd!

Ktoś tam z nas zapytał:

— Jakżebyśmy przyjmowali sfery urzędowe tego samego państwa?

Przesada!

Z tą uprzejmością polską wobec byle hetki - pętelki zagranicznej należałoby wreszcie skończyć.

Nie jesteśmy kopciuszkiem między narodami.

Mamy wcale wartościową kulturę.

Zdobyliśmy dość pokaźną liczbę światowych nagród, choćby, np., im. Nobla.

Na naszych urządzeniach społecznych i państwowych wzoruje się wielu.

Dlaczego mamy stale być na ostatnim planie, kiedy chodzi o t. zw. godność narodową i państwową?

Wstyd!

Nauczmy się wreszcie więcej szanować samych siebie, żeby nas nareszcie zaczęto — szanować!

Potrafmy wreszcie w stosowaniu uprzejmości wobec zagranicy, rozróżniać kaprali od — jenerałów, pisarzy kancelaryjnych od — ambasadorów!!

JULJAN PODOSKI.

„Sanacyjni działacze“ c. d.

Donosiciel moskiewski

Badany pod przysięgą świadek w tej sprawie gospodarz Józef Marciniak ze wsi Brachowice Stare, gminy Rogóźno, powiatu Łęczyckiego, zeznał, że Antoni Pacholczyk, będąc pisarzem w tej gminie — przed wojną, oskarżył Marciniaka przed władzami rosyjskiemi o wystąpienia przeciw naczelnikowi powiatu. Wskutek tego władze rosyjskie przeciwko Marciniakowi prowadziły dochodzenie.

Jak zeznawał ksiądz Michał Perzyna, powodem oskarżenia Marciniaka przez Pacholczyka miało być to, że ten oświadczył na zebraniu gminnem, że płaci stale podatki, które do niego nie należą. Pacholczyk odgrażał się, że tego nie daruje. Ks. Perzyna razem z dziekanem ks. Żebrowskim udali się do naczelnika powiatu Smolskiego, aby ratować Marciniaka i usłyszeli tam, że ten jakoby buntuje przeciw władzy całą gminę.

Kto był sprawcą powyższych donosów stwierdza zeznanie Antoniego Komasiaka, który słyszał jak naczelnik Smolski mówił, że oskarżenie podpisał Pacholczyk.

Zausznik niemiecki.

Jakim był stosunek Pacholczyka do okupantów niemieckich wynika z dalszych zeznań Komasiaka, który za okupacji pozostał nadal woźnym. Słyszał on, jak Pacholczyk radził urzędnikowi niemieckiemu Ziółeckiemu, aby przysłał do gminy wojsko, celem zabrania młynków i wymuszenia kontyngentu zboża. I innemu urzędnikowi niemieckiemu, Rychłowskiemu, doradził Pacholczyk, aby zabrać bydło gospodarzowi Marciniakowi. Nic też dziwnego, że gdy na życzenie całej parafji ks. Perzyna interwenjował u Niemców o przeniesienie Pacholczyka gdzieindziej, odpowiedziano mu, że Pacholczyk jest najlepszym pisarzem gminnym w powiecie i raczej otrzyma awans.

Łapownik i szantażysta

Inny świadek, Walenty Kasprzak, z Brachowic Nowych zeznał, iż za okupacji niemieckiej otrzymał z gminy wezwanie do stawienia się do aresztu. Nie poczuwając się do żadnej winy, Kasprzak udał się o wyjaśnienie do Pacholczyka, jako pisarza gminnego. Kasprzak dał Pacholczykowi 10 rubli i... do aresztu nie poszedł. To samo było z jego sąsiadem, Kazimierzem Biadołą.

Gospodarz, Walenty Pietrasik, zeznał, iż mając wyznaczony znaczny kontyngent zboża dla Niemców, nie mógł dostarczyć odrazu całej wyznaczonej ilości. Wezwany do gminy, usłyszał od Pacholczyka na osobności, iż grozi mu więzienie, jednakże możnaby tej przykrej ewentualności „zaradzić“, lecz kosztować to będzie 35 rb. Pietrasik, po długich targach, dał Pacholczykowi 20 czy też 25 rb., do więzienia nie poszedł, a resztę kontyngentu dostarczył w tym czasie co i inni.

Zeznał dalej Pietrasik, że teść jego Andrzej Olejniczak, starzec 70-letni, na łożu śmierci jeszcze narzekał, że Pacholczyk wsadził go do więzienia za niedostarczenie kontyngentu, ponieważ nie dostał łapówki.

Wszyscy świadkowie zeznawali pod przysięgą. Zeznania leżą w sądzie w Łęczycy. Pan Pacholczyk nie pociągnął świadków do odpowiedzialności za oszczerstwo. Przeciwnie za cenę dania mu spokoju cofnął wówczas swą kandydaturę do sejmu.

Władze sanacyjne były ostrzegane i prowadziły w swoim czasie dochodzenie w tej sprawie, ale widocznie uznały, że takiego właśnie człowieka im potrzeba, skoro umieściły go pomimo to na swej liście państwowej.

The right man on the right place — właściwy człowiek we właściwym miejscu i... we właściwem gronie.

MOZE TAK—MOZE NIE

Widowisko, któremu trudno dać nazwisko

Na wystawie poznańskiej, w „Pałacu rządowym“ — jest także dział ministerstwa pracy i opieki społecznej. W dziale tym jest ciemna nora, w której dwa razy dziennie odbywa się... przedstawienie teatralne.

Na scenie ukazują się czarne, zrozpaczone postacie, reprezentujące różne odłamy polskich warstw pracujących. Obok sceny, zdala od aktorów, reprezentujących życie istotne, na stosownem podwyższeniu za stolikiem siedzi aktor, przedstawiający biurokrację.

Na wszelkie skargi, wydobywające się z ust warstw uciemiężonych, aktor-biurokrata odpowiada cytowaniem różnych ustaw i łask rządowych, które jakoby usuwają lub conajmniej łagodzą różnego rodzaju niedomagania społeczne. Przedstawiciele pracy niezwłocznie występują z krytyką, wykazującą, że wszelkie te ustawy, rozporządzenia, zarządzenia, — pozostają w dużym stopniu na papierze lub mijają się z celem; na to biurokrata nie znajduje już odpowiedzi, — milknie.

Na scenie starannie jest zaznaczona rozbieżność między życiem istotnem, a papierową biurokracją. Biurokrata stale jest zapędzany w kozi róg przez przedstawicieli robotników, nie próbuje nawet wdać się z nimi w dyskusję, ale nadaje sobie tony mentorskie i na wyżynie swej estradki kryje się w drażliwej chwili poza paragrafy ustaw papierowych. Niekiedy, gdy robotnicy występują z najcięższemi zarzutami i oskarżeniami, biurokrata omawia przez wiszący nad stolikiem telefon jakieś prywatne szczegóły spotkań poprzedstawieniowych.

Z nonszalancją, właściwą obecnej radosnej twórczości w dziedzinie karjer osobistych, aktor-biurokrata pozwala sobie w swych cytatach urzędowych na cały szereg nieścisłości, jak np. że czas pracy w hutnictwie śląskiem został przedłużony w roku 1923 (w rzeczywistości w r. 1924), że zezwolenia na przedłużenie czasu pracy wydają inspektorowie pracy (w rzeczywistości ministerstwo pracy) i t. p.

Przedstawienie jest nudne i strasznie długie (trwa aż trzy kwadranse); i to całe szczęście, bo dzięki temu niewielu widzów znajduje cierpliwość dosiedzenia do końca.

Wrażenie bowiem całości jest okropne; widz, który dosiedzi do końca, wychodzi pod ciężkiem wrażeniem, że w Polsce zagadnienia społeczne są beznadziejnie zabagnione przez głupią i nieodpowiedzialną biurokrację, a robotnikowi pozostają dwie alternatywy: albo odebrać sobie życie, albo wstąpić do partji jaknajbardziej wywrotowej.

Skąd podobne „przedstawienie“ mogło się wziąć na deskach sceny rządowej?

Pochodzenie „sztuki“ tej jest wyraźne zupełnie: tuż za armją bolszewicką jechały ongi zespoły aktorskie, które w okupowanych miastach niezwłocznie wystawiały utwory, zarówno treścią swą, jak i efektami scenicznemi przypominające obecnie odgrywane w Poznaniu widowisko.

Krążą słuchy, że autorem widowiska poznańskiego jest pewien wysoki dygnitarz ministerstwa pracy, wyrosły na dygnitarza wprost z aktora kabaretowego Pan ten w swoim czasie pisywał powieścidła nudne i głupie, mocno jednak zakrawające na prace... subsydjowane. Były to powieści o rozmaitych tendencjach politycznych, ale była też między niemi jedna, apoteozująca działalność Wieczorkiewicza i Bagińskiego.

Czy „sztuka“ poznańska nie pozostaje więc w dalekiem choćby pokrewieństwie z tamtem plugastwem...

jl.

Może tak — może nie c. d.

Czas skończyć i z tą legendą...

Wystąpienie p. Izy Moszczeńskiej na łamach „Kurjera Warszawskiego“, w którem autorka rzuciła nieco światła na rozpowszechnioną w naszem społeczeństwie legendę, jakoby b. legjoniści należeli w Polsce pomajowej do kasty ludzi uprzywilejowanych — sprowadziło na jej głowę szereg gromów i ataków.

Pierwszy oburzył się p. Wasserzug-Wasowski, dziś bojowy mistrz „wielkiego kultu“, a czasu wojny przez najdłuższy okres swej aktywności, mówca wiecowy klubu Państwowców Polskich, gdzie na czyn legjonowy i jego twórcę przez specjalne patrzono okulary. Dziś ten „nieznany legjonista“ odmawia (!?) prawa p. Moszczeńskiej wypowiadania swej opinji o legjonach... Widowisko zaiste wspaniałe...

Potem przyszedł list brata poety legjonowego ś. p. Mączki, aktualnie oficera czynnej służby, w tym samym, choć na ogół przyzwoitym, utrzymany tonie. Ta metoda, gdy za umarłych mówią ich żyjący krewni, — jest specjalnością okresu t. zw. sanacji. Roku zeszłego widzieliśmy jak do kampanji wyborczej przeciwko prawicy wciągnięto wdowę po zmarłym przed 20 laty wybitnym publicyście narodowo-demokratycznego kierunku, dziś w gruntownie zmienionych warunkach, brat dobiera aktualne komentarze do spuścizny ideowej po ś. p. Mączce, który zostawił dostatecznie bogaty i cenny materjał, na podstawie którego każdy potrafi objektywnie ocenić, jak on ujmował ideologję legjonów. Ten dorobek powinna przedewszystkiem uszanować rodzina ś. p. zmarłego i oszczędzić jego świetlanej pamięci conajmniej wątpliwej wartości dowodzeń o powinowactwie duchowem jego poezji z... znaną pieśnią I brygady.

Do najcięższego ataku ruszył jednak sam p. ex-minister Miedziński w „Głosie Prawdy“. Ten wyciągnął najgrubszą „Bertę“, mianowicie wystąpienia publicystyczne autorki w czasie wojny, oceniające krytyczne stanowisko ówczesnego brygadjera Piłsudskiego do przysięgi legjonów i ich rzekomy związek z jego zaaresztowaniem. Nie zadał sobie jednak trudu p. ex-minister gruntowniejszego zgłębienia i tej legendy. Potraktował ją w płaszczyźnie tego rodzaju ścisłości, jak n. p. ta informacja, że wiedeńska „Reichspost“, organ chrześcijańsko - socjalny, którego artykuł cytuje — była... berlińskim organem rządu Rzeszy...

A przecież istnieją już wystarczające informacje, pochodzące z ust samego Piłsudskiego, oświetlające w sposób zgoła inny, genezę wypadków po jego ustąpieniu z Tym. Rady Stanu, które w konsekwencji doprowadziły do aresztowania. Wspomina o nich Piłsudski w liście do gen. Hallera, w którym przyznaje, że sam żądał od Niemców, by w stosunku do niego zastosowały te same metody represji, co do odmawiających przysięgi legjonistów.

Czas wreszcie ostatni, by o roli swej w kwestji zaaresztowania Piłsudskiego opowiedział szczerze i głośno — chociażby w następnym tomie swych pamiętników — pewien wybitny publicysta ultraaktywistyczny, którego stosunki z Niemcami, wypływające z ślepej wiary w wyłączną zbawienność jego koncepcji politycznej dla sprawy polskiej, były zbyt znane, aby mogły być opacznie sądzone. Nie wystarczy, gdy pan ten zwierza się z tych rzeczy poufnie znajomym, a tymbardziej nie jest to dowodem męskiej rycerskości, gdy na ten temat szerzy się legenda, której ofiarą jest bezbronna... kobieta.

Nie przypuszczamy, by pp. Miedzińscy o tym szczególe nie wiedzieli . A jeśli milczą to jedynie dlatego, iż może i ich krępuje nieco ten fakt, że ten sam publicysta, dziś, po 12 niespełna latach, składa memorjały p. pułk. Sławkowi i pisuje wiernopoddańcze adresy do Belwederu, w których zachęca do oktrojowania konstytucji według swego oryginalnego pomysłu. Rozumiemy, że jest to trochę kompromitujące, ale tembardziej dyktować powinno pewien umiar w lekkomyślnem podtrzymywaniu innej legendy.

Sanacyjna defilada.

W uzupełnieniu naszych ostatnich informacyj, dotyczących przebiegu obchodu rocznicy pierwszego powstania górnośląskiego, które podaliśmy na podstawie relacyj naocznego świadka, musimy przytoczyć fakt ujawniony przez niezależną prasę górnośląską, rzucający charakterystyczne światło na metody, przy których pomocy zorganizowany został obchód t. zw. urzędowy, który zaszczycił swą obecnością p. Prezydent Rzeczypospolitej i pp. ministrowie: Kwiatkowski i Prystor.

Otóż ujawniono okólnik, jaki wydał prezes sanacyjnego Związku Powstańców Śląskich na pow. Katowicki niejaki Kula pod liczbą dziennika 365/29, w którym to okólniku mieści się zapewnienie, że każdy z uczestników defilady, należący do Zw. Pow. Śl. otrzyma na placu zbiórki w Katowicach po 1 zł. Pozatem zarząd okręgu dysponuje specjalną kwotą 1000 zł. celem dodatkowego wynagrodzenia tych grup, które podczas defilady wystąpią najliczniej. Warto jeszcze podkreślić, że ten sam zarząd zobowiązuje się w tym okólniku do pokrycia kosztów munduru dla każdego powstańca w wysokości prawie 40 proc. jego kosztów...

Przypomnieć należy, że celem licznego ściągnięcia na defiladę sanacyjnych powstańców, z których znakomita większość z powstaniem nic wspólnego nie miała, oraz zapewnienia im odpowiedniego „sukursu“ ze strony „strzelców“ z Śląska Cieszyńskiego, oraz Zagłębia Dąbrowskiego i Krakowskiego — uruchomiono w tym dniu na przejazd do Katowic 40 bezpłatnych pociągów...

Możnaby się zapytać: kto to wszystko płaci gdyby nie to, że w danej sprawie daleko przykrzejszą i boleśniejszą jest druga strona medalu, a mianowicie ów demoralizujący sposób w jaki „cudowne dziecko“ p. Bartla, któremu niebacznie powierzono przed 3 laty ster władzy polskiej na Śląsku — chce za wszelką cenę zademonstrować wobec wysokich czynników państwowych, że „panuje“ nad Górnym Śląskiem.

Mniejsza zresztą o tę całą swoistego wynalazku „Potemkiniadę“. Złem do nienaprawienia jednak jest ta fala demoralizacji, jaką „sanacja moralna“ rozlała wśród ludu górnośląskiego. Tym panom ani na myśl nie przyjdzie pomyśleć, że opieranie demonstracyj narodowych na takim czynniku jak „darmowe“ koleje i wynagrodzenie finansowe, to jest stosowanie metod, przy pomocy których Polska zawsze może być pobita przez... Niemcy. Gdyby w czasie plebiscytu tą drogą „zdobywano“ głosy polskie — nigdybyśmy Górnego Śląska nie mieli. Jakie szczęście dla Polski jest, że w tym czasie nikt jeszcze nie myślał o tem ognisku zła i nieprawości, jakie przybrało szumny tytuł „sanacji moralnej“...

W poszukiwaniu ratunku.

Łudzi się ten, kto przypuszcza, że sanacja tak łatwo zrezygnuje z piastowania władzy. Zbyt dobrze się żyło, zbyt dużo się ma do stracenia, zbyt wiele się ryzykuje po powrocie między zwykłych śmiertelników — by tonąc nie chwytać się bodaj przysłowiowej brzytwy.

„Czwarta brygada“ w rozkładzie, w pierwszej fermenty, niezadowolenia, przyczajony bunt. Jak tu z taką armją wygrać bitwę? Słynie jednak nasza sanacja z śmiałości pomysłów, z ryzykanctwa przedsięwzięć. Tyle w życiu najnieprawdopodobniejszych imprez się udało — dlaczego by ta „ratunkowa“ zawieść miała...

I tak wbrew wszelkim zaprzeczeniom, a nawet przy akompanjamencie umyślnej na łamach prasy sanacyjnej dywersji — dojrzał podobno w sferach decydujących heroiczny plan ... porozumienia z endecją. Skoro „badanie gruntu“ okrężne via

p. pos. Pluciński nie dało rezultatu, może z powodu wrodzonej ciężkości taktycznej pośrednika (wiadomo Poznańczyk!) — wymyślono ostatnio uderzyć wprost aż do samego „wielkiego ołtarza". W tej intencji wyjeżdża niedługo do Chludowa w Poznańskiem pewien obrotny jegomość znany w sferach bankowo - ziemiańskich, aby samego Romana Dmowskiego przekonywać, że... ratunek zagrożonej Ojczyzny wymaga, by endecja... ratowała sanację. Konkretne propozycje „porozumienia" mają ponoć być bardzo ponętne.

Mimo to wśród pesymistów sanacyjnych panuje obawa, że p. Roman gotów sprytnego agenta przepędzić gdzie pieprz rośnie...

Z CYKLU: „RADOSNA TWÓRCZOŚĆ"

Ministerjalna tancbuda

Rządzenie nie jest rzeczą łatwą, ani gładką. Przygotować się do tego ciężkiego obowiązku trzeba należycie, dowcipnie i wszechstronnie.

Przesąd to też niemądry, że na wszelkie rządowe stanowiska wypychać trzeba fachowców, że np. ministrem spraw wewnętrznych powinien być prawnik, skarbu — finansista i t. d. i t. d. W dzisiejszem tempie życia zgoła inne są wymogi i umiejętności. Mamy też radosnej przemiany znakomite dowody.

Zdarzyło się tedy w stołecznem mieście Warszawie, miesięcy temu parę, że w zacnym domu przy Al. Jerozolimskich otworzono dyskretny i wytworny salon tańca. Salon, jak salon: miejsca sporo, posadzka gładziuchno wyfroterowana i wysypana i wielkie lustra, ażeby godne osoby mogły i swe odwrotne, pełne wdzięku części oglądać.

Dyskrecja jednak była konieczna, a wytworność z samych codziennych promieniała gości. Tam to bowiem sznureczkiem a pilnie wędrowały świeżo upieczone i na mianowanie czekające ministry na ...lekcje tańca!

Przecie to w obecnej sytuacji Rzeczypospolitej tak ważne! Nieodzowne. konieczne!

Prym wiódł sam szef gabinetu; dzielnie mu wtórował kanclerz skarbu i sprawiedliwości opiekun (p. Kwiatkowski wrodzoną tańczy grandezzą — więc lekcyj mu już nie trzeba). Mówią jednak że i p. Jędrzej zachodził tam sobie podrygać, a nawet — ale to na ucho — sam p. Sławek, który z dziedzicznego (jakże to tam? Czetwertyński?... Lubomirski?...) poloneza zwolna przechodzi na „Tango Milonga"...

Widok podobno był uroczy, szczególnie w lustrach, gdy do siedzenia ministerjalnego nawykłe członki zdrowo się prężyły w takt subtelnych poruszeń.

Można nawet w imaginacji odtworzyć sobie figury i melodje które poszczególne persony wystukiwały: p. premjer z wrodzonym temperamentem tańczył sobie „Daj ognia", kanclerz skarbu—„Zrób mi gola", minister s. w. — „Hallo! tempo!", min. sprawiedliwości — „Kobieta i bestja", ale za to pp. Miedziński i Stpiczyński w smętniejszem już nieco tempie — zgrabną kołysankę „On nie powróci..."

Poczem wszyscy na komendę intonują wspólny taniec reprezentacyjny pod aż nadto wiadomym adresem — „Ja pragnę pana pocałować"...

Rooo!...

Nic więc dziwnego, że takie to są najpilniejsze naszych mężów stanu w czwarty rok błogosławionej sanacji kłopoty i zatrudnienia...

Fi-górka prowincjonalna.

Tak jakoś cicho znikł z Warszawy, a na lwowskim partykularzu tyle o nim krzyku! Gazety nie przestają o personie tej pisać i wciąż jej coś wypominają: Górka tu, górka tam...

Z pewnością jedna to z najcenniejszych kreaturek sanacyjnych, godna kiedyś obszerniejszej monografji. W „Cekamendzie Legjonów" pluł siarczyście na I Brygadę i łasił się, a pętał koło ś. p. gen. Zagórskiego. Potem wojażował dyplomatycznie, aż w Bukareszcie potknął się... ale trzeba przyznać, że koleżeński wyrok honorowego sądu akuratnie go z wszelkich c „karciąta" zarzutów oczyścił.

Poczem dąsał się długo na Belweder, i o Komendancie z wybitnem mówił lekceważeniem, aż przylgnął do sanacyjki po pamiętnym maju. Do karjery go jednak nie puścili, nawet kandydować do Sejmu zakazali (choć skamlał i zabiegał) jeszcze zabawniejsze wysuwając fi - gurki.

Teraz redaguje naczelnie „Dziennik Lwowski", jedno z najzabawniejszych pisemek pro -rządowych, którego nakład podobno sięga aż 500 egzemplarzy. Pocóż zresztą czytać te wyskrobki, gdy sam p. redaktor pilnie biega po wszystkich kawiarniach, chwyta znajomych za guzik od kamizelki lub czegoś tam niżej i prawi: „Wie pan? Napisałem na jutro artykuł. Świetny. Zaraz panu opowiem..." I czytać... już nie trzeba.

Ale w tej prowincjonalnej idylli wydarzyło się Imć redaktorowi nieszczęście: jako zdawna jest megalomanem wlazł do auta p. wojewody i z państwową chorągiewką paradował po mieście. Zaraz mu to opozycyjny organ wypomniał, na co p. Górka w świętem oburzeniu drukuje w ten deseń: „od kilku miesięcy żadnem autem nie jeździłem, ani prywatnem, ani rządowem..." Na to znów organ wspomniany łagodnie: „Ależ p. G. — było to o tej i o tej godzinie, siedziała tam jeszcze pewna pani i pewien pan..." Tu już było Górce za wiele i wali prosto z mostu: „Nie żaden pewien pan, ale właśnie wojewoda...'

I pocóż było zaprzeczać i cholewkę dam ską z własnej czynić buzi?...

Tak od słowa do słowa zaczęła się rozmowa i napisano szczerze: „niech no p. G. siedzi cicho, bo przypomnimy mu dawne usualne pożyczki..." Redaktor rozsierdzony znów woła o pomstę do nieba: „Jakie pożyczki? Kiedy? Kłamstwo! Rabunek!..." I tu znów zacytowano mu autentyczne jego skamlące tłumaczenie, jawnie parę lat temu drukowane, gdzie powiada, że w karty żadnej sumy państwowej nie przegrał, z poselstwa gotówki nie pompował, a tylko „usualne pożyczki..."

To było dawno w Bukareszcie. Oleś Skrzyński, honor poselstwa salwując, wszystko grzecznie zapłacił. I pocóż to przypominać?...

Fi - górka prowincjonalna też żyć musi w promieniach sanacyjnej łaski, która dobiera ludzi ideowych i nieskazitelnych, też żyć musi — a jakże! Zostawcie ją tedy w spokoju.

GEORGE

Dość niedyskretnych złośliwości

Opozycja, opozycją — ale nie trzeba przesadzać. To trudno — musimy to powiedzieć szczerze i poważnie. Nadewszystko bez zbędnych złośliwości.

Nie możemy pochwalić zjadliwych pismaków, którzy wypominają, że p. Kwiatkowski ma zostać generalnym dyrektorem u Harrimana, przebąkują, że p. Sławek wcale nie jest Sławek tylko Czetwertyński, lub nawet Czartoryski..., lub wreszcie zaglądają do słownika Lindego, żeby chytrze sprawdzić jakieś tam paskudne słowo.

Tak samo z p. ministrem Carem. Rzucono się na niego, że pojechał do Nizzy. Powoli, panowie — minister może

Z cyklu: „Radosna twórczość“ c. d.

sobie jechać gdzie chce, „Luxem“ lub autem, jak mu się podoba; a wybór hotelu, choćby najdroższego, też do niego należy.

Zrobiła się też przy tem obrzydliwość Wobec tego, że p. minister wyjechał z panną Blikle — odrazu ukazała się w prasie wiadomość, że jest ona jego sekretarką, a ludzie złośliwi nuż podglądać i wywąchiwać co to za sekretarka, od czego i t. d. i t. d.

Otóż, po dokładnem sprawdzeniu spisu urzędników ministerstwa sprawiedliwości, stwierdzić możemy kategorycznie, że panny Blikle w tej liście niema i nie było; sekretarką p. ministra tembardziej nie jest.

I pocóż te plotki. Cóż to — czy dorosły mężczyzna, a choćby i minister, nie może sobie pojechać gdzie mu się podoba z taką czy inną niewiastą? Z kuzynką? Przyjaciółką? Narzeczoną? A gdzie mieszka i jak, w jednym pokoju, czy w dwuch — to naprawdę jego własny interes.

(—)

MÓWI SIĘ TU I OWDZIE...

...a nawet do znudzenia, o zbliżających się zmianach w rządzie. Wtajemniczeni (a tych jest legjon) opowiadają nawet jaką to wcierę dostał p. szef gabinetu w Druskiennikach.

Wszystko to być może, ale przyznać trzeba,, że w obecnym sanacyjnym rozgardjaszu sprawa się jeszcze należycie nie wyklarowała. Cóż, że się kraj straszy nawet „ugodowym“ premjerem, gdy ugoda z nikim nie doszła do skutku? Ani z cząstką nawet endecji za łaskawem p. Plucińskiego pachciarstwem, ani z P. P. S., gdzie najsprytniejszych wysłano pośredników, obiecując i odstawienie Prystora i zelżenie tempa w „sanacji“ Kas Chorych

Sytuacja gabinetu wygląda więc mgławicowo. A jeśli się mówi coraz głośniej o p. Matuszewskim, to jest w tem jakby ukryta groźba i zapowiedź zaostrzenia kursu, który obecny sternik nawy rządowej do reszty rozmazgaił. P. Matuszewski — ma to być ów srogi mąż, który nie zawaha się wyrżnąć dyskiem w parlament.

Przytem i pewien policzek dla ciał ustawodawczych, gdyż uporczywie mówią, że na opróżniony fotel przy ul. Rymarskiej wrócić ma p. Czechowicz. Zabawa niezgorsza.

*

...że w najbliższym czasie ma być zniszczony spokojny zresztą i nikomu nie zawadzający organ pewnych grup b. wojskowych p. t. „Szaniec“.

Coś tam się wysokiej władzy nie podobało.

Co będzie z ludźmi, którzy tam ośmielili się pisywać — strach pomyśleć, ale rzecz zabawna, że srogie represje dotknąć mają też tych, którzy pismo to... prenumerowali.

Gdy pomyślimy o genjalności tej metody — można dostać ciężkich przypadłości żołądkowych ze śmiechu. I cóżby to było, gdyby tak wszystkich czytelników prasy nieco opozycyjnej począć karać? Tłumy kajdaniarzy dniem i nocą maszerowałyby do kryminału.

I któżby w końcu został na wolności?

*

...że w niedługich dniach ukazać się ma nowy, nader srogi Dziennik Personalny M. S. Wojs., w którym będzie nowa suta porcja emerytów, od generałów niemal do kaprali włącznie.

Powtarza się też uporczywie, że w nader zasłużony stan spoczynku odejść mają generałowie: wicemin. Konarzewski, Skierski, Osiński i obaj Wróblewscy.

Możeby to było i słuszne — czy ja wiem? Ale tak długo już się powtarza te same nazwiska, że wygląda to na pospolitego węża morskiego z głową Daniela i wróbelkami pod ogonem...

FIGARO.

Słowniczek aktualny

AUGUST RADOSNO-TWÓRCZY — potulny żaczek na konferencji haskiej.
BIARRITZ — rezydencja rady państwa polskiego.
CADILLAC — przyrząd do czarnej magji.
DEKRET — to samo, co przywłaszczenie praw.
EMERYTURA — kara dla młodocianych.
FUNDUSZ DYSPOZYCYJNY — spółka finans. bez odpowiedzialności do popierania sportu strzeleckiego.
GENERAŁ — twór, ulatniający się, jak kamfora.
HAGA — przedpokój dla naszych dyplomatów.
IGNAŚ — okaz posłuszeństwa.
JANUSZ — nieświeży okaz żonglera.
KOC — przykrycie, które nie każdego może przykryć.
LUNAPARK — bezprogramowa zabawa w Be - Be.
ŁAŹNIA FAJANSOWA — to samo, co przepaść bezdenna.
MARSZAŁEK — „prawie“ to samo, co Cezar.
NEOPRYSTORKA — rodzaj dżumy, na którą zasłabła Chora Kasia.
OPRYSZEK — inaczej wendziak.
PRZEDŚWIT — nowotwór (socjalistyczny) rozwijający się przy pomocy prorządowych kapitalistów.
RYDZ — grzyb najcięższej strawny.
STRZELEC — kursy, przysposabiające kandydatów na ministrów.
TEATR — to samo, co BBS i PPS.
UNIWERSALNY — to samo, co pierwszo brygadzista.
WOJTUŚ — to samo, co zesłaniec (z „Nieprawdziwego Głosu“).
ZAMEK — ekspozytura, podległa Belwederowi.

Bis.

Odpowiedzi Redakcji

WP. Józef Karcz — Tarnowskie Góry

Nie — Szanowny Panie. Mylnie Pana poinformowano. W. Stpiczyński jeszcze w „Placówce“ nie pisuje.

Aniela Sz......ska, Otwock.

Jak zdołaliśmy stwierdzić, min. Składkowski z powodu nawału zajęć porad ginekologicznych nie udziela.

Inż. St. W. Sosnowiec.

Niestety, nie możemy Panu udzielić wyjaśnień. Tak zawiłe zagadnienia fiskalne wymagają głębokich studjów fachowych i długoletniej praktyki. Najlepiej proszę się zwrócić wprost do por. Zaćwilichowskiego w Min. Skarbu.

Zofja Ruszkowska, Bydgoszcz.

Elegancki pokój w „Negresco“ w Nicei (na dwa łóżka) kosztuje dziennie 800 — 1.000 fr. franc. Jest to niewiele ponad 270 — 350 zł. Oczywiście — ma Szan. Pani rację — w Druskiennikach jest nieco taniej.

„Alf“, Warszawa.

Czyżby to istotnie był płk. W. Dług.? Ostatecznie widuje się czasem pijanych oficerów w lokalach publicznych, nawet w „Oazie“, ale, o ile nam wiadomo, Komenda Miasta takie wybryki karze bardzo surowo.

Cena prenumeraty: rocznie zł. 12, kwart. zł, 3.50 mies. zł 1.20 **Zagranicą:** rocznie 2 dol. am., półrocze 1 dol. am., kwartalnie 70 ct. am (względnie równowartość w innej walucie). **Ceny ogłoszeń:** 1/1 str. 300 zł., 1/2 160 zł., 1/4 90 zł., 1/8 50 zł.; w tekście o 35% drożej.

Adres Redakcji i Administracji; Warszawa, ul. Sienna 33, tel. 106-25 **Konto P.K.O. 19.070**

Redaktor i wydawca **Wacław Dziekoński.** Druk. „ARS“, Warszawa, Sienna 33, tel. 106-25.